

WSPOMNIENIE NAUCZYCIELKI

Ucznia Wojtka Danielskiego, tak jak i innych wychowanków szkoły ze starszych klas, znałam z widzenia. Był on ministrantem z parafii Trzech Krzyży, w kościele św. Aleksandra, a po południu często przebiegał Plac Trzech Krzyży i ul. Nowy Świat niosąc w ręku menażki obiadowe. Jak tylko mnie spostrzegął, to z daleka kłaniał się czapką mundurową — czyli kepi kroju francuskiego. Ta nasza przyjaźń z „widzenia” przetrwała lata. Gdy został księdzem, zaczęliśmy się do siebie odzywać; krótko, ale zawsze treściwie. Spotykaliśmy się czasem w Rektoracie akademickim Św. Anny, na Starówce, lub na podwórzu Kurii przy ul. Miodowej. Ks. Wojciech najczęściej kończył nasze mini-spotkania słowami: „Ja na pewno kiedyś Panią odwiedzę”. I tak miały lata. Jak doszło do umówienia się na wizytę u mnie w domu, nie pamiętam. Ks. Wojciech przyszedł po południu w niedzielę adwentową 1984 r. z niewielkim opóźnieniem, za które bardzo przepraszał. Przyniósł kwiaty i ku mojemu zaskoczeniu pocałował mnie w rękę. A na moje powiedzenie: „Co ksiądz robi?” Jego odpowiedź była: „Nie ksiądz dla Pani, ale Wojtek i proszę mnie nie poucaż. Po 25-ciu latach kapłaństwa wiem, co robię”.

Rozmowa była bardzo żywa. Aby mnie lepiej wprowadzić w zagadnienie ruchu „Światło i Życie” zostawił broszurę. Szczegółów rozmowy nie pamiętam, ale z wielką troską mówiliśmy na temat księży: o ich poziomie intelektualnym, kulturze ich serc oraz o ich wychowaniu nie tyle religijnym, ale towarzysko-ogólnym. Stwierdziłam, że wśród księży obecnie bardzo brakuje wzorów osobowych, takich jak kiedyś był ks. Edward Szwejniewicz, duszpasterz akademicki i rektor kościoła Św. Anny w Warszawie. W czasie naszej rozmowy ks. Wojciech bardzo był skupiony. Odczuwałam, że coś rozważał. A kiedy mówił o swojej aktywności, którą Mu życie narzuciło, powiedział: „Nie umiałem odmówić wykonania polecenia, żeby poprowadzić prace po ks. Franciszku Blachnickim. Zgodziłem się, ale to nie leży w mojej naturze. Mnie pociąga kontemplacja. Prawie na nią nie mam czasu. Rekołacje swoje spędzam w Tyńcu. Bardzo chciałbym być tam mnichem”. I z wielkim ożywieniem dodał: „Ja nie wiem, jak to się stanie, ale ufam, że niedługo będę mógł w pełni kontemplować”. Tę odpowiedź potraktowałam jako powierzenie mi tajemnicy. Odniosłam wrażenie, iż w ten sposób prosi o modlitwy w Jego intencji, by zrealizowały się Jego marzenia. Ks. Wojciech był u mnie przeszło godzinę. Gdy podnosił się z krzesła, zauważyłam, że ma bóle w krzyżu. Zapytany: „Co to jest? Wojtku, przecież jesteś młody”. Odpowiedział: „Widocznie tak trzeba”.

Gdy byliśmy w przedpokoju, weszła dawna moja uczennica. Gdy usiłowałam Go przedstawić, zwrócił się do mnie: „Proszę pozwolić, ja się przedstawię”. I wtedy określił podstawy naszej wieloletniej przyjaźni. Mówił: „To jest Pani Profesor, z którą przez kilka lat spotykaliśmy się w kościele Św. Aleksandra na Mszy św. o godz. 7.00 rano. Ja byłem tam ministrantem, który podawał patenę, gdy przystępowała do Komunii św. A działo się to prawie codziennie”. Gdy wyszedł pozostałam pod wielkim wrażeniem Jego osobowości. Uderzyło mnie, że już od młodego chłopca cenił On związki zachodzące między ludźmi w czasie Mszy św.